

Bośnia i Hercegowina 2016 – Ludzie

6 maja 2016

Ludzi, których spotkałam w Sarajewie dzieli pochodzenie, ale łączy przekonanie o niezwykłości miejsca, w którym przyszło im żyć. Sarajewo każdemu z nich wydaje się inne: „wyjątkowo piękne”, „wyjątkowo parszywe” czy też „wyjątkowo przygnębiające”. Ale w każdym przypadku „wyjątkowe”.

ROZUM

– Zdajesz sobie sprawę, że w Bośni rzeczywistość dzieli się na „przed wojną” i „po wojnie”? – pyta doktor Mario Hibert, kiedy odbieram go spod Wydziału Filozoficznego, gdzie wykłada literaturę porównawczą i bibliotekoznawstwo. Idziemy na sushi do Sarajevo City Center. Mario jest bardzo „zachodni”. Lekko siwiejący na skroniach, koło czterdziestki, niczym się w zasadzie prócz tej siwizny nie różni od brodatych okularników z Placu Zbawiciela, grzebiących w swoich ajfonach.

– Pamiętasz wojnę? – udaję, że zadaję to osobiste pytanie ot tak, mimochodem, usiłując złapać pałeczkami uciekający ryż. Pamięta doskonale. Jak wybuchła, miał 16 lat. Trzy następne spędził w armii Bośni i Hercegowiny, choć dziś trudno uwierzyć, że kiedykolwiek mógł mieć w ręku broń. Mówi cicho, jest łagodny w obyciu, gestykulację ogranicza do poprawiania okularów na nosie. Intelktualac.

Pamięta Sarajewo sprzed czerwonej żywicy i Alei Snajperów. Miał w nim przyjaciół – w większości Serbów. Wtedy nie miało znaczenia, co mają wpisane w paszporcie. Nagle zaczęło mieć. Po wojnie zniknęli z miasta.

Jak to się stało, że „zaczęło mieć”? Myślałam, że to legenda, piękna opowieść na użytek zachodu. Wiesz, o kolegach z akademika, co nagle zaczęli zabijać, bo odkryli, że jesteś

Serbem, a oni Chorwatami. Albo na odwrót. A za wujka Tity było mleko, miód i pokojowe współistnienie.

– Na pewno nie wszędzie było sielsko – mój rozmówca uważnie dobiera słowa. Myślę, że wstydzi się swojego wzruszenia, kiedy w pamięci stąpa po ulicach rzeczywistości „przed”. – Ale ja to właśnie tak pamiętam. Moc tego jednego człowieka uspokoiła wszystkich na prawie trzy dekady. Tito dał nam nową tożsamość. Naiwnością byłoby oczywiście twierdzić, że w projekt „Jugosławia” wszyscy uwierzyli z dnia na dzień. Uwierzyli, kiedy skoczyły słupki, kiedy ekonomicznie odbiliśmy się od dna. A potem Tito umarł, wszystko zadrżało w posadach. Obecne elity to de facto osobna kasta: kasta beneficjentów wojny. Ci sami ludzie, którzy ją rozpętali, są nadal przyspawani do stołków i zajmują się pisanem ustaw, które utrudniają mi życie.

Mario uważa się za obywatela Bośni i świata. Jest kosmopolitą. Nie chce przyznać się, co ma w dokumentach, choć jego imię jednoznacznie wskazuje, że jest Chorwatem. Widzę, że to drażliwy temat. Udaję, że nie jestem w stanie tego rozpoznać.

– Wartości, które przekazali nam nasi rodzice, dziś są bezużyteczne – mówi, wróciwszy po dłuższej chwili z kiosku po drugiej stronie alejki. Papierosy pali tylko Marlboro. – Mówili „ucz się, będziesz kimś”. Ja miałem szczęście. Posadę na uniwersytecie dostałem przypadkiem. I przez dziesięć kolejnych lat nie będę musiał zastanawiać się nad tym, że w kraju szaleje 50-procentowe bezrobocie. W moim przypadku sprawdziło się to, co wkładała mi do głowy mama. Ale to wyjątek od reguły, nie reguła.

O swoich studentach nie ma najlepszego mniemania. – Nie umieją stawiać pytań – krzywi się w grymasie zniechęcenia. – Ich wiedza jest pokawałkowana, nie potrafią wytworzyć połączeń. Przypominają to afrykańskie plemię, którego członków biali zapytali kiedyś „Używacie Internetu?”. „Nie”. „A Facebooka?”. „Tak”. Wielu z nich nie dostrzega, w jak groźnych czasach

żyje. Mamy postmodernizm. Lewica też musi być post-. A jak myślisz, jak wygląda lewica w kraju, gdzie wszystkie linie konfliktów przebiegają „po narodowości”? Nawet nie jest XX-wieczna. Zwraca się wciąż do pracowników przemysłowych wielkich fabryk.

Oczywiście, możemy walczyć ze starymi nacjonalizmami na poziomie starych haseł, ale nasza rynkowa sytuacja jest już zupełnie inna. Jesteśmy teraz na rynku globalnym. Sprzedajemy informacje. Sprzedajemy prywatność. Na tym poziomie nie ochroni nas socjalizm oparty na sile państwa, nawet jeśli wróci. Potrzebny nam socjalizm ponadnarodowy, globalny. I tutaj znów jesteśmy w pułapce. Bo jakie mamy narzędzia, żeby go wytworzyć? Tylko rzeczywistość wirtualną, która sama w sobie nakręca wielkie koncerny, jak Google czy Apple.

Podnosi do góry filiżankę z herbatą. – Kiedyś kategorie dobra wspólnego wykształcało się tak. Socjalizm wrzuciłby do tej szklanki robaka i kazał ci to wypić „dla dobra społeczeństwa”. Każdy by się buntował, ale w końcu zrobiłby pod przymusem. A kapitalizm apeluje do twoich egoistycznych instynktów. Tak ci namąci w głowie, że w końcu uwierzysz, że gdzieś tam w ukryciu od dawna marzysz, żeby to wypić. To jak w filmie „Czeski sen”. Z tym się nie da walczyć!

A jednak istnieje idea, która jest w stanie porwać i jego, wykładowcę akademickiego, któremu pewnego dnia wciśnięto karabin i wysłano do piekła. Mario jest wielkim admiratorem otwartych zasobów edukacyjnych. Marzy o globalnej, wszechświatowej bibliotece Borgesa. Gdy o tym mówi, i ja zaczynam wierzyć, że można zbawić świat. Że mając w zasięgu wszystkie traktaty o pokoju i miłości bliźniego wytworzone przez ludzkość, nikomu nie przyjdzie już więcej do głowy, by rozpętać wojnę.

SERCE

Namiar na Vuka Baćanovicia dostaję niezależnie od kilku osób.

Komunista, rewolucjonista, totalny krytyk bośniackiej rzeczywistości – tak o nim mówią. To cenna publicystyczna zdobycz. Vuk jest bośniackim Serbem z korzeniami żydowskimi, z małżeństwa mieszanego, jakich zawierano wiele w Jugosławii w pokoleniu naszych rodziców. Ma 33 lata, wygląda na 20 – kucyk, glany, ćwieki. Już mu się nie chce szturmować wrót świata z czerwoną flagą, walczy głównie słowem. Jest dziennikarzem i dość rozpoznawalną postacią w Sarajewie. To idealny gość radiowych i telewizyjnych debat: konfrontacyjny, głośny, ekspansywny i złośliwy. Jedną celną uwagą potrafi powalić rozmówcę na łopatki i wygrać starcie. Píše dla regionalnego portalu Bilten i informacyjnego Novi, ale gdyby mógł, rzuciłby dziennikarstwo. Z wykształcenia jest historykiem. Przez prawie rok uczył w jednym z sarajewskich liceów – na zastępstwo. Mówi, że bez odpowiednich koneksji posada nauczyciela jest praktycznie nieosiągalna.

Ma w sobie mnóstwo goryczy, a fazę młodego zapaleńca – jak twierdzi – za sobą. Utrzymuje jeszcze kontakty z trockistami, czasem pójdzie pokrzyczeć pod budynkiem Skupštiny, Wkurzają go urzędnicy, wkurzają banksterzy, wkurzają organizacje pozarządowe, wkurzają intelektualisci. Właściwie wkurzają go wszyscy.

Lewica? Nie ma tu takiej. Prekariat? Prekariat leci do Niemiec i Austrii pracować na czarno. Nikt się tu nie będzie organizował. Ustalmy: jesteś w Bośni, tak? Ale nie jesteś „Bośniakiem”, tak jak jest się „Polakiem” czy „Rosjaninem”. Taka kategoria pojęciowa nie istnieje poza mapą w atlasie. Jesteś przede wszystkim bośniackim Serbem, Muzułmaninem, Chorwatem – dopiero potem marksistą-leninistą, trockistą. Nawet nacjonalistą jesteś w drugiej kolejności. Prekariuszem jesteś dopiero w kolejności trzeciej. Globalna lewica? Wirtual? Kto ci takich bzdur nagadał, intelektualisci pieprzeni, wszystko mają porozkładane na czynniki pierwsze, ale o prawdziwym życiu nic, zero, null. Daj spokój z mrzonkami o powrocie realnego socjalizmu. Klasowa, ponadnarodowa

retoryka? Prawa człowieka? E, super. Coś pięknego. Na papierze. Też kiedyś byłem młody.

Organizacje pozarządowe? Nieudacznicy, co ze swojego nieudacznictwa zrobili sposób na życie. Nic nie zmieniają, biorą tylko udział w obracaniu obcą kasą. Wiesz co? To tacy jak oni nas wykończą.

Federalizacja Bośni to według Vuka pierwszy – i konieczny – krok do normalności. Kto miałby to zrobić? Ludzie, gdy znów wyjdą na ulice? Może. Jak im się znów przeleje. Śniliśmy sen o Jugosławii, teraz śnimy o Unii. Jasne, to iluzja, ale jednocześnie jakaś tam szansa na normalizację prawodawstwa, na spięcie się ze zmianami, jeżeli chcemy wejść do UE w pakiecie z Serbią. Chociaż – macha ręką zrezygnowany i zamawia kolejne piwo – federacja czy nie, mentalności ludzi nie zmienisz. Problemem jest omijanie konstytucji, nie sama konstytucja. Złodziejstwo, hipokryzja, krycie tyłków banksterce. Ten kraj jakoś się trzyma tylko dlatego, że ludzie robią na czarno. I bardzo, bardzo lubią narzekać za granicą na swój los.

Vuk jest jedną z niewielu postaci w życiu publicznym, które głośno upominają się o krzywdę bośniackich Serbów podczas rozpadu Jugosławii. Bycie wrzodem na tyłku władzy to pasja, której oddaje się bez reszty każdego dnia. Wskazuje na błędy popełnione w latach 90. przez Izetbegovicia. Na antyserbską obsesję elit, która kazała zapomnieć ich niewątpliwe zasługi podczas drugiej wojny światowej. Próbuje wyrównać proporcje. Jest dla niego oczywiste, że w kwestii Srebrenicy służby specjalne USA układały się miesiącami. Nie kocha Serbów miłością bezwarunkową, nie czuje się też specjalnie opuszczony przez Belgrad. Ale – mówi – gdyby dziś w Republice Serbskiej rozpisano referendum – 99 procent chciałoby przyłączenia do Serbii.

Jego również pytam o legendę Tity: złote czasy, wszystkie nacje żyjące w szczęśliwości i miłości. Tak czy nie? Tak i nie – mówi po zastanowieniu. Po śmierci Tity wróciły granice

ekonomiczne. Antagonizmy narastały. Wszyscy mieli żal do wszystkich, że wyłamują się, zdradzają, nie są już solidarni. Każdy miał rację i nie miał jej nikt. Nie ma prostych odpowiedzi. Ja ich nie znam.

Interwencja NATO? Konieczność. Jak to? A tak to. Bez rozjemcy z zewnątrz wykrwawialibyśmy się nadal. Dziś, z perspektywy czasu, wiemy, że przyniosło to nam więcej kłopotów niż korzyści. Zrobiliśmy sobie problem, oddając się pod kuratelę. Polityka Stanów Zjednoczonych u nas poklasku nie znajdzie. To, co wyprawiają na Bliskim Wschodzie, naszych muzułmanów przeraża. Wychodzi na to, że przy takim na przykład Iraku i tak mieliśmy sporo szczęścia.

Rok temu mój rozmówca wywołał skandal wpisem na „Facebooku”. Długim, pełnym jadu felietonem, z motywem przewodnim powtarzanym jak refren: „Nienawidzę Sarajewa, tego pięknego miasta, gdzie...”. Wypunktował wszystko wszystkim. Antyczetnickie fobie ratuszowi, małomiasteczkowość i bigoterię posłom, oderwanie od życia wykształciuchom, grzechy niepamięci w czczeniu cywilnych ofiar jednej tylko ze stron. Dorobił się serii memów „Nienawidzę Sarajewa” ze sobą w roli głównej. Jego twarz przeklejano do obrazków przedstawiających Vuka Karadžicia, a nawet Gavriła Principa. Ciężko o lepszy dowód, że ten facet naprawdę kocha Sarajewo.

CÓRKA DOKTORA

U Catherine (Cat) Norman-Tahirović mieszkam w Sarajewie. Cat jest zaledwie rok starsza ode mnie, ale jej życiorysem spokojnie można obdzielić kilka osób. Pochodzi z Północnej Karoliny, ale Stanów praktycznie nie pamięta. Kiedy miała 5 lat, wyjechała do Nigerii, gdzie jej ojciec pracował jako lekarz. Przekazał jej poczucie misji. Wysoka, tyczkowata, delikatna blondynka sprawia wrażenie, jakby silniejszy podmuch wiatru mógł złamać ją na pół. A jednak dźwiga na swoich plecach cały hostel. The Doctor's House to jej projekt życia. Nowe miejsce na mapie Sarajewa nie potrzebuje reklamy,

rekomendacje roznoszą się drogą szeptaną tak skutecznie, że w sezonie po prostu nie da rady tu przenocować. Kalendarz rezerwacji ma już zapełniony na lato.

Na wejściu wszyscy zadają jej to samo pytanie: – Lubisz „Dr. House’a”, prawda? Tak, bardzo. Ale nazwa hostelu to nie to. To kawałek jej intymności, przeniesiony z Nigerii na południe Europy. „Dom doktora”, jej ojca, był dla miejscowych zawsze bezpiecznym schronieniem, gdzie dostawali opiekę, poradę, leki i jedzenie. Hostel Cat jest urządzony właśnie a’la taki domowy szpital – białe łóżka z parawanami, motyw Czerwonego Krzyża na kocach, półeczki nad łóżkami stylizowane na mini-apteczki. Właścicielka wszystko zaprojektowała sama. Z wykształcenia jest grafikiem, pracowała też jako fotograf. Zanim dotarła do Bośni, rozbijała się po świecie – w swoim 30-letnim życiu zdążyła mieszkać w Niemczech, Liberii, Chinach i Rosji. Jej rodzice nadal siedzą w Nigerii, jedna siostra w Chinach, druga gdzieś w Tennessee. Cat wyszła za mąż za Muzułmanina. Sama jest niewierząca.

Mówi, że tutaj czuje się u siebie. To trochę sarajewska Karen Blixen. Jej serbski wciąż jest kanciasty, ma problem z wymową świszczących spółgłosek. Ale wygląda na szczęśliwą. Przez rok krążyła po Europie Środkowej w poszukiwaniu miejsca na hostel. Początkowo rozważała Czechy. Na wojnę, głód i biedę napatrzyła się w Afryce. Mówi, że Sarajewo to w porównaniu z tamtym regionem świata miejsce nadziei.

Obraca się głównie w środowisku muzułmańskim, trochę żydowskim – ale to już mikrospołeczność. Żydów w Sarajewie nie ma więcej niż 500. Nawet śluby mogą brać tylko dwa razy do roku, bo nie mają własnego rabina, muszą czekać na odwiedzin przyjezdnego.

– Nie ma szansy, żeby Bośnia weszła do Unii, a już na pewno nie „w pakiecie” z Serbią – macha ręką, podsumowując perlistym śmiechem wzniosłe projekty, które kilka dni wcześniej kreślili przede mną Vuk i Mario. – Może... za 200 lat... Serbia i Chorwacja ukróciły korupcję. Z oporami, owszem, ale w końcu rozliczyły

swoich wojennych zbrodniarzy. A tutaj... rozumiesz, prezydent nigdzie się nie wybiera. Nikt go przecież nie zmusi, żeby ustąpił i sam postawił się przed sądem. Marzą o Unii, ale marzą tak już ładnych parę lat. Że ktoś przyjdzie i ich zbawi.

Serbowie nienawidzą Amerykanów za naloty NATO, Muzułmanie za Irak i Afganistan. Cat nie popiera bliskowschodniej polityki Obamy, jednocześnie nie czuje się również zobligowana do tego, by się za nią tłumaczyć. Jest już częścią polityki tutejszej. Mówi, że za wojnę wszyscy obwiniają wszystkich i każdy jest przekonany, że zawinili pozostali. W dużym mieście żyją zgodnie, ale jej mąż, brodaty ortodoks, po którym od razu widać, że jest Muzułmaninem, stara się nie zapuszczać do serbskiej części. Kilka razy wrócił stamtąd poturbowany.

Nie wiadomo, czy bardziej wyglądają pomocy międzynarodowej, licząc na to, że Europę pospołu ze Stanami ruszą jakieś wyrzuty sumienia za ich twarde lądowanie po wojnie, czy silniejsze jest pragnienie pokazania światu wielkiego faka. Zgadza się, że z zachodniej, jakby nie patrzeć, perspektywy – bardziej prawdopodobne zdaje się to drugie.

Autorstwo: Weronika Książek

Źródło: Strajk.eu